№ 19.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 7 września 1844. Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 24 sierpnia 1844.

Stroje damskie. Chociaż pora nadto jest spoźniona aby zajść mogły wielkie odmiany w modzie, dużo jednak widzieć można nowości w strojach jakie nasze modystki wysyłają do zakładów kąpielowych gdzie największa część naszych elegantek się zebrała. Materie w odcienia jaskrawych kolorów, białe muszliny i bareże w różnych kolorach, gładkie lub w deseń, jasne albo ciemne są najwięcej używane. Staniki są powszechnie z wyłogami które formują rodzaj kołnierza; spodnica zaś ubrana dwoma zakładkami; wszystko to razem robi strój prosty a ładny. Suknie jedwabne mają jeden, dwa albo i trzy wolanty, wyżej lub niżej przyszywane, podług upodobania; staniki wycięte w kształcie serca; rękawy sposobem weneckim, drugie rękawy z przezroczystego muszlinu. Zajęła nas także bardzo suknia z szkockiego fularu biała z błękitnem, której spodnica ubrana dwoma wielkiemi ukosami, z których każdy obszyty wolantem takiej szerokości jak pół ukosu; cały ten strój zakrywa dwie trzecie części spodnicy. Stanik wycięty w górze i ubrany bertą z tej samej materii i obszytą wolantem. Rękawy są gładkie, prosto krajane, i ledwie do połowy ręki dochodzą; drugie rękawy są z muszlinu rurkowanego.

Na ranne przechadzki na wsi, czy u wód, bardzo są używane redyngociki w kształcie podwłosników z płócienka lub muszlinu w deseń, krojem dalmackim, z stanikiem wysoko zachodzącym, ubranym haftami szydełkowemi; rękawy półdługie, zostawujące zupełną wolność ręce, jeśli się ją niechce przykryć drugim rękawem albo mitenką sznurowaną.

Z kapeluszów najmodniejsze są: kapotki z grodenaplu koloru słomianego, mające za cały wystrój bukiet z drobnych kwiatów. Kapotki z gładkiej, białej krepy, ubrane równianką wawrzynu, także kapelusze z włoskiej słomki, ubrane polnemi kwiatami lub wstążkami.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię szlubną z korunek; druga suknia morowa; trzeci surdut o dwoch rzędach guzików z otwartemi połami, tudzież ubranie czterech głów.

Stroje męskie. Pan Jasiński, znany krawiec w Poznaniu, wygotował na wystawę płodów przemysłu krajowego w Berlinie, surdut własnego wynalazku który ma to podwójne przeznaczenie, iż podług upodobania może się we frak zamienić. Cały mechanizm ukrywa się pod podszewką; i niczego więcej niepotrzeba, jak przewlec sznurek igliczką przez kilkanaście pętelek, aby szerokie poły zamieniły się w scięte i wązkie. Oddać tu potrzeba sprawiedliwość wynalazcy, iż wielką zrobił przysługę raz dla podróżnych, którym oszczędza wielkich tłumoków, bo mogą w pakunku niewielkim zmieścić strój zwyczajny i galowy; powtóre, dla lubiących oszczędność, którzy miasto dwoch sukień, jedną tylko potrzebują sprawić. Pan Jasiński spodziewa się otrzymać przywilej na swój użyteczny wynalazek w świecie mody.

WET ZA WET.

OBRAZ MAŁEGO MIASTECZKA.

Dokończenie.

Takie były marzenia Izabelki przy czepku; a czepek to godło małżeństwa, do którego matki przezorne codzień naganiają córkę wszystkiemi sposobami; ów czepek nazajutrz po ślubie wdziany na głowę, ileż to nowych marzeń staje się powodem, marzeń, do których wyobraźnia dobiera barw mniej czystych, ale za-

to dobitniejszych, jakby je pożyczała z rumieńca twarzy, który w czasie marzeń podobnych przechodzi wszystkie odcienia zacząwszy od róży, aż do piwonii. Jednem słowem Izabelka marzyła o realiście. Jakób dla Izabelki był on dla niej!...

W drugim pokoju pan Dezydery z panem Janem nieskończonego cięli mariasza, gwarząc czasem między panfilem a kralką, a popijając miodek jakby chcieli na przekor nowym wyobrażeniom przypominać sobie trunkiem i grą czasy niedzisiejsze.

— Aptekarza ładnym majątkiem bóg obdarzył.

— Lekko przyszło, lekko pójdzie....

— Nie bardzo on przecie rozrzutny.

— Mój bracie! kiedy człowiekowi krwawo przyjdzie na grosz zarobić, choć czego potrzeba, to przecie pomyśli nim grosz wyda, bo mu żywo stanie przed oczy pot wylany, zanim zchwytał toczącą się mamonę. Ale kiedy spadnie ni ztąd, ni zowąd, nie pojmie wartości, aż straci wszystko....

— Zapewne aptekarstwo kupią dobra.

— Żeby dobrze zapłacili, wtrąciła pani Janowa, przedałabym im byczka tyrolskiego.

— Otby mój proces kupili; spuściłbym co z kapitału.

— Na coż tracić panie Janie; czekałeś już tak długo.

— Co roku się spodziewam końca, aż zestarzałem się....

— Zapewne!... ja mu kasztanki moje przedam, to prawdziwie pańskie konie!...

— Chyba pojadę do aptekarza z moim procesem.

— O byczku niezapomnij!...

— A ja mu kasztanki zaprezentuję.

— A przytem nim zpawieje, dobrze wypić choć butelkę węgrzyna; słyszałem że huczno żyje.

— Nie mówiłem? tamtego jeszcze nie dostał a swoje puszcza....

— Ze dwudziestu reszta!...

— Nie przyjmuję, bo niewidziałem....

— Fe panie Dezydery!...

— Coż robić! niewidziane przepadło.

— Wszystko przez aptekarza.

W bawialnym pokoju dominikalnego dworku przechadzał się żwawym krokiem pan sędzia; sędzina zaś siedziała niedbale na kanapie.

— Jakże myslisz duszko? kupię cząstkę, i mandatarię trzymać....

— Fi! fi! niechcę słyszeć o tej mandatarii.

— Ale dochody ma dobre!...

— Czy nieuważasz jak ja mizernieję....

— Owszem! kapitalnie wyglądasz.

— Ja?... a niechże bóg przemieni!... i wiesz, czego ja mizernieję?

— Prawdziwi niewidzę... nieuważam... niewiem....

— Tak jest! czuję się z każdym dniem słabszą; widzę jak grób otwiera się przed memi stopami, i chce pochłonąć ofiarę swoją....

— Ale fe! fe!...

— I wiesz ty? jaka przyczyna mych cierpień?...

— A wiem, spazmy! tak słabe masz nerwy!...

— To nie spazmy, to nie nerwy!... cierpię na umyśle, na sercu, na duszy, na sumieniu....

— Pietrze! Pietrze! panie Jacenty!...

— Czego wołasz?...

— Po doktora poszlę....

— Nic nie pomoże!... sztuka ludzka nieuratuje mnie!...

— Coż ja ci poradzę serdeńko?...

— Przestań być mandatariuszem! omdlałym głosem jękła sędzina....

— Jeżeli chcesz!... jak dobędę roku...

— Za miesiąc zielona mogiła okryje me zwłoki...

— Coż mam robić?...

— Podziękuj! i weź posessię!...

— Dobrze! — Weź gołąbku!... niemogę znieść tego słowa sędzina... to jakby sędzina w beczce; lada possessorowa siada na kanapie, a ja muszę mieścić się na stołku; broń boże mdłości, można się zabić... wypowiedz służbę...

— Za tydzień ma pan powrócić... podziękuję od kontraktów....

— A coto rzeczy nam brakuje! aż słabo się robi powóz, fortepian, meble, konie; weź papieru, będziemy spisywać, czego nam potrzeba...

— Zaraz duszko! i przyniósł arkusz papieru, a żonę pogłaskał pod brodę.

— Tylko nie umieraj aniołku..

— Poczekam lubciu do kontraktów...

Drugiego dnia po owym sławnym na wieki w mieście Wronosławiu dniu aptekarskiego szczęścia, gwar rozprawiających mężczyzn, pisk kobiet przerywających sobie, szczęk talerzy i butelek, których szeregi ciągle się odnawiały, czynił dom Rafała wiernym obrazem napełnionej karczmy wiejskiej, albo kwatery niższych oficerów w pochodzie wojennym, pełnej tytuniowego dymu, który ciemnemi obłokami unosił się nad głowami przytomnych. Rejent najgłośniej rozprawiał.

— Tak kochany Rafałku; rozum masz, pieniądze masz; za dziesięć lat będziesz bogatszy od Rotszylda!...

— A osobliwie jeżeli pan dobrodziej nabędzie mój proces, o którym wspominałem... sto tysięcy monetą,

a procenta zaległe od lat dwudziestu *alterum tantum,* sprawa czysta jak bursztyn; za dwa lat musi się skończyć pomyślnie.

— Kup Rafałku! pan coś spuści!...

— Spuszczę i znacznie bo potrzebny jestem....

— Cóż pan żądasz?...

— Gotówką sześćdziesiąt tysięcy....

— Aj! aj! zajęknął Rafał odurzony szczęściem, winem, i kadzidłami przytomnych gości.

— Daj panu pięćdziesiąt!... a ciszej dodał; w targi się nie wdawaj wielkie; tyś pan Rafałku, a panowie szafują....

— Dam... dla czego nie! to u mnie bagatela!... ale chciałbym rzecz rozpoznać....

— Gdzieżby pan taki jak ty chciał się nudzić szczegółami; ja znam całą rzecz; pewna i czysta jak słońce....

— Ależ kota w worku!... mruczał nie zupełnie jeszcze na pana przerobiony.

— To ci opowiem! zakrzyczał rejent... ciotka szwagra tego pana była przyrodnią siostrą ojczyma tego co zostawił majątek... jak się tam zowie....

— Ale gdzież tam! co pan mówi?... to mój stryj!...

— Niech będzie i stryj; opowiedz pan sam, jeżeli lepiej wiesz... a resztę, nie ma o czem mówić, pan Rafał kupił już, i basta.... Ale Rafale dodał pijąc ciągle i śmiejąc się; ty pan, a wina brakuje.

— Maciek idź do Mendla, i przynieś kosz wina. I dalej ciągnie się pijatyka, którą kieruje głównie rejent, w imieniu uszczęśliwionego wpółpijanego winem, a w pół szalonego szczęściem aptekarza.

W drugim pokoju siedziała na kanapie aptekarzowa promienista dumą i strojem, który zebrała najdziwaczniej ze wszystkiego co sama posiadała, i czego tylko w kramikach miasteczkowych dostać mogła na prędce, przy niej realista deklamuje dawną swą miłość, z zapałem nowego uczucia.

Ja co z takim zapałem
Tyle lat cię kochałem
Będę płakał i jęczał daleki.

Więc aby zbliska wzdychać jako logiczny wniosek wyprowadzał podróż wspólną do Wiednia. Aptekarzowa słucha, lecz nic nie mówi, już ona na złotych czy banknotowych skrzydłach wybiega daleko za świat swój, a w nim jak punkcik ciemny ledwie dojrzany niknie cały stosunek dawniejszy z realistą; ona zolbrzymiała w nadzieję świetniejszych podbojów, w marzenia piękniejszych i młodszych wielbicieli; realista zkarlał....

— Zobaczysz Wiedeń! to ogromne miasto, gdzie wiek przeżyty jest jedną i roskoszną chwilą... a prater! ten prawdziwie europejski spacer; przewiduję już jakie zrobisz pani *furore.*

— Milczała ciągle, ale słodziej spojrzała na mówiącego. Realista cieszył się ze zrobionego wrażenia, ani mu przez myśl przeszło, że ona żąda Wiednia, pratera, hołdów europejskich, nowych; a w tym uroczym rozległym obrazie, realista wydał się jej plamą szpecącą....

— Wszyscy cisnąć się będą do ciebie pani! Galicianki w ogóle uwielbiane są w Wiedniu. Walił dalej pan Jakób dziwnie zadowolniony z siebie.

— Ja chcę być w Wiedniu!... ja będę w praterze!... zaszeptała prawie głosem niedbałym, w którym odbijały się już odcienia arystokratyczniejsze; było w tym głosie więcej szeptania salonowego, zalotnego, niż dawniejszej krzykliwości rubasznej, łającej kucharkę, lub targującej się w kramiku o łokieć wstążki jakby szło o wieś....

— Ja zawsze na pani usługach; zawsze wierny... utrzymywać będę codzienny budżet, który do tak wielkiej damy....

— Budżet! wykrzyknęła z szczerotą dawnej niewiadomości; lecz wnet dama nowa przyszła do siebie, i dodała: ja niechcę by mnie pan co trzymał....

— Spis to nudnych wydatków!... moim będzie obowiązkiem rachować się w drodze, pilnować żeby panią nie oszukiwano, starać się o wygodne popasy i noclegi....

— Śmiech mimowolny przebiegł przez twarz aptekarzowej; wtej chwili zaimprowizowanej damie realista wydał się nieznośnie śmieszny, i wyrzekła nareszcie z odcieniem szyderstwa wgłosie. A to piękny projekt!...

— Realista nie zrozumiał jej... czyli raczej dawnej aptekarzowej pamiętny, źle zrozumiał; i pełen wewnętrznej roskoszy bajał dalej; a Basia słuchała i milczała, a marzyła!... Biedny realista!...

Nadeszła pani Janowa z córką wracając z nabożeństwa, i przerwała rozmowę; pani Rafałowa zaledwie powstać raczyła; realista ani się ruszył, ani obejrzał; choć zdziwione i wymowniejsze nad zwyczaj oczy Izabelki spoczęły na nim z wyrazem pełnym czułości....

— Jakiś pan chce się z panem widzieć! zagadł laborant....

— Nie idź Rafałku! ty dziś nie ten co wczoraj! powiedz temu panu, że taka droga jemu do pana Rafała, jak panu Rafałowi do niego.

— A tak! kryguąc się jak indyk dodał pan Rafał; proś tego pana tutaj....

*

Proszony nie gniewał się; był to pan Adam.

— Słysząc o szczęściu pana, przyjechałem powinszować mu....

— Nic to nic!... he! he!... wina podajcie!...

— Brawo Rafałku! dalipan tyś pan prawdziwy!...

— Myślałem właśnie, ciągnął pan Adam, iż panu potrzebny kocz!... a mój zupełnie nowy tylko za ciężki dla kawalera.

— Najpotrzebniejszy! kocza, kocza nam właśnie brakuje....

— Mnie zaś... to jut....

— Kupił go już Rafałek drogi, Rafałek pan....

— Tak, ale cena!...

— Głupstwo moi panowie! zgodzę was, jak odbierze Rafałek pieniądze swoje....

— Ja chętnie czekać będę kochanemu i zacnemu panu; a spodziewam się że też mnie raczysz łaskawy sąsiedzie odwidzieć; zapolujemy sobie....

— Ja raz w życiu wróbla zabiłem....

— Cicho Rafale! wielcy panowie namiętnie polują....

— To jest, jak zabiłem wróbla, takiej nabrałem ochoty, że noc i dzień polowałbym.

— A wieczorem zagramy sobie diabełka lub faraona.

— Ja nie gram....

— Pst! Rafale, wielcy panowie grają bez ustanku.

— Tak! tak! ja nie gram nic innego tylko barabona i diabełka.

— Do kocza potrzebne konie; ozwał się inny z wiejskich aptekarza sąsiadów; kup moje; o, co to za konie te kasztanki moje! bo to, i młode i rosłe jak utoczone, bez najmniejszego felera; w domu dawali mi trzysta dwadzieścia czerwonych złotych.

— A konie jakby w zmowie z przedającym grzebali ziemię, a parskali aż miło.

— Kup Rafałku!...

— Ale niemam gotówki, szepnął aptekarz....

— Na kredyt Rafałku! kredyt i pan zawsze razem; a ty pan, jeżeli masz pieniądze....

— Ja poczekam chętnie. Jakoż wkrótce zatoczono kocz do wozowni, wprowadzono konie do stajni.

— Wypijmy mohorycz! niech żyją pieniądze i Rafał!...

Nowy powóz zatrzymał się przed apteką.

— Hrabstwo! zawołał Kalasanty, i wybiegł z pokoju.

— To chyba do apteki.

— Pan hrabia i pani hrabina Gołozłoccy! zameldował lokaj; zmieszał się Rafał niewiedząc co robić, hrabstwo bowiem raz na parę lat przyjeżdżali, li do Wronosławia, i niewstępowali nigdzie chyba do xiędza kanonika.

— Żono hrabstwo! krzyknął Rafał, i wybiegł na ulicę, za nim żona i drudzy; Kalasanty otwiera drzwiczki; wchodzą hrabstwo do apteki z miną tak uroczystą, jak gdyby na pogrzeb jechali, widać jednakże ślady pomieszania i mimowolne pogardy błyskawice, które kryją jak mogą pozorem uprzejmej grzeczności. I wszyscy pomieszani kręcą się i wiją, to mówić zaczynają, to nagle urywają; wszyscy prócz rejenta, który czy nadto odważny, czy nadto pijany przechadza się jednostajnie po pokojach, a winko popija bez ustanku. Realista wyniósł się; sędzina i pani Janowa, tak się rozdygały jakby nakręcone ku temu maszyny.

— Może jaśnie państwo pozwolą winka, ozwał się wreszcie gospodarz, i pobiegł po trunek, który, miał za niego gościnnością przemawiać....

— Dziękujemy, przyjechaliśmy na chwilkę tylko, by odwidzieć... kuzynkę, ciszej dodała hrabina; o którą moja ciotka tylekroć się dowiaduje... pomna... na jej pobyt....

Natężone miasteczkową ciekawością uszy usłyszały kuzynkę! kuzynkę! zaszeptano w około; i dygi nowe, powtórzone, niskie bez liku, aż się proch dawno szanowany, falbanami pomiatany, tumanem wzniósł do góry....

— Kuzyn hrabiego! Rafałku! słyszysz! pan z panem, szkatułka z perłami herbowemi. Rafałku! tyś tęgi! tyś wielki! tyś zuch!... A Rafał sam nie wie jak ma mówić, jak stąpać; podwójnie stał się smieszny, jakby dwoma twarzami to się puszy i nadyma, to znowu chyli i uniża.

— Tu nie podobna *dans cette cohue* co zrobić, szepnął hrakia do małżonki; zaproś ich na jutro na obiad.

— Może pan hrabia pozwoli fajeczki?...

— Hrabia przyjął i wyszedł tem chętniej do drugiego pokoju, że miał napięty interes do sędziego, którego tam zajrzał....

Realista smutny i zamyślony siedział na ganku; pojmował on dobrze, że wszyscy do jednego z nim dążą celu, do szkatułki aptekarskiej; lecz kto kogo ubiegnie to pytanie: aptekarzowej zaś milczenie wydało mu się w końcu nienaturalnie jakoś wypływające z jej dawniejszego usposobienia dobrze mu znanego. Żądza i niepewność dręczyły go na przemiany, jakby się mscić chciały za Izabelkę, w której głowie burzliwy chaos, rozwaliny gmachu wyobraźniowego. Dwa razy upuściła chustkę, i sama ją podniosła, a realista był o krok niej, nogą prawie chustki dotykał;

głośno uskarżała się na pragnienie, i sama jak nie pyszna musiała chodzić za wodą do kuchni; a realista był tuż i nie ruszył się, jeno oczami i uchem śledził poruszeń i słów aptekarzowej. Duszno jej; a więc wybiegła na ganek; stanęła koło niego, lecz on czy nie widzi, czy widzieć nie chce.

— Proszę pana o kwiatek...

— Jaki kwiatek! opryskliwie zapytał.

— Spojrzała nań z zadziwieniem. On by nie miał pamiętać.

— Aha! służę pani. Sięgnął do kieszeni obojętnie jakby po chustkę od nosa, po kapciuk sięgał; dobył, i podając spojrzał na nią. W jej oczach tyle było wyrazu dumy dziewiczej, żalu, rezygnacii, że mimowolnie opuścił podającą rękę; poczuł że wiele traci, że zle robi.

— Koniecznie pani żądasz wydrzeć pamiątkę....

— Od aptekarzowej droższą pan mieć będziesz!...

— Od aptekarzowej! powtórzył przeciągle.

— Więc proszę! zawołała głosem drżącym i wyciągnęła rękę.

Żałował zwracać, a zatrzymywać nie chciał, by nie dodawać otuchy uczuciu Izabelki, które jak dobrze uważał nieraz wybuchło w czasie jego rozmowy z aptekarzową; a dziewcze tak nań tkliwie i z łagodnym spogląda wyrzutem; w głosie proszącym o zwrót kwiatka tyle mieściło się błagania o zatrzymanie onego. Po chwili namysłu przypomniawszy wyższość swoją umysłową nad ten cały świat małomiasteczkowy i wiejski, odezwał się realista uczony.

— Otwarcie wyznać pani muszę, że ją rzetelnie przenoszę nad drugie, ale szczerość i szlachetność niedozwala mi taić że jestem zawisły od okoliczności, że nie jestem panem mej woli; nie mając ustalonego losu wyszukuję drogi do celu; rozejdźmy się więc póki czas, póki ja mogę jeszcze przemawiać do ciebie pani mową rozsądku. Nie zapomnę nigdy o pani, a jeżeli przeznaczeni sobie jesteśmy nie unikniemy przeznaczenia; jeżeli zaś nie, na cóż daremne zabiegi; rachunek i porządek powinni być w terazniejszym świecie przewodnikami; smutna to ale istotna prawda; kto jej niewierzy nieraz wystawia się na nieszczęścia które zatruwają bieg życia... Niewiem jak długo byłby realista prawił; mówiąc bowiem sam się zapalał, i sam siebie podziwiał, gdyby zniecierpliwiona Izabelka nie wyrwała kwiatek z ręki machającej na wsze strony w krasomowczym zapale... Dygnęła pogardliwie i znikła....

— Szkoda że nie ma majątku! mruknął realista, i pociągnął, magnesem naszego życia wiedziony, do pani Rafałowej prosto.

W kole mężczyzn coraz weselej, coraz huczniej. Aptekarz pijany pod przewodnictwem oraz pijanego rejenta, częstuje wszystkich bez miary, krzyczy, puszy, nadyma się, omal nie pęknie, jednem słowem najkomiczniejszą wygrywa scenę przed gośćmi swemi, którzy w pół pijani otaczają z rodzajem mimowolnego uszanowania przedstawiciela dwakroć sto tysięcy; i zaprawdę, gdyby wór tą sumą napełniony stanął zamiast Rafała między niemi, gotowiby zacni sąsiedzi, znaleść w nim rozum i dowcip którego zaprzeczali ubogiemu aptekarzowi.

— Owoż Rafałku! bogaty jesteś! zaczniesz inne życie, życie pańskie!...

— Pańskie! dmuchnął gospodarz.

— Kocz, konie są już! w świat teraz ruszaj Rafałku; do Paryża! tam stolica dla panów!...

— Do Paryża! do Paryża jadę! w świat!... nudna bo też mieścina ten wasz Wronosław....

— Teatr, opera, balet! a nadewszystko piękne spiewaczki z głosem syreny... i piękniejsze baletniczki z nóżkami!... Rafałku co to za nóżki!...

— Kupię! i spiewy i nogi!

— Wiwat szczęśliwy Rafał! huknęli drudzy chórem.

— Możesz kupić dobra za milion!... ratami spłacisz!...

— Dobrze mówisz Ignasiu! kupię za milion!...

— A ty sędzio idź za mandatariusza do Rafałka.

— Ja biorę dzierzawę!...

— Bierz jeśli masz pieniądze! i zaśmiał się potężnie pan rejent.

— Wiwat dziedzic i dzierzawca.

— A jak kupisz dobra, kupisz szlachectwo! herb Rafałku tobie potrzebny...

— Herb! prawda herb! będę milionowym panem!...

— A potrafisz że być panem?...

— Owa! zawsze miałem ułożenie pańskie! i poważnie stąpając przeglądał się aptekarz w lustrze.

— Jakby ulany na pana! cha! cha! krzyczał pan Ignacy!...

— Wiwat milionowiec! wtórowali drudzy.

— Chcesz pan brać dzierzawę! szeptał hrabia do sędziego; dzierzawy teraz wyciągnięte nad miarę; ja odprawiam Kalasantego; weź pan dominium.

— Nie myślę trudnić się mandatarią....

— Nie skończyłem.... Masz pan dominium, poborstwo podatków; zrobię pana komisarzem i plenipotentem, bo sam wyjeżdżam za granicę: płaca stała, tysiąc ryńskich monetą, procent od podatków i inne drobne korzyści.

— Muszę jaśnie panie namyślić się! odrzekł sędzia, a namyślić się znaczy u niego i oradzić się żony.

— Oczywiście złożysz pan kaucię; mając teraz grube pieniądze....

— Kaucia to fraszka....

— Za lat kilka możesz pan kupić wioskę....

— Pijcie przyjaciele! wołał Rafał; choć pan jestem milionowy, pamiętać zawsze będę o was....

— Ale Rafałku! ty niedasz sobie rady z majątkiem! krzyknął Ignacy, pod którym nogi zaczęły tańcować: lepiej może żebyś go niemiał....

— Zapewne! może tobie oddać?

— Ja niechcę! dosyć dla mnie płacy mojej.... Założę się Rafałku że nie kupisz dóbr za milion....

— Kupię, kupię! krzyczy rozgniewany Rafał....

— Nie kupisz bratku, bo nie masz miliona, cha! cha! cha!...

— A proces pana Jana!...

— I procesu nie kupisz!...

— Otoż kupię, choćbyś miał pęknąć ze złości....

— Oj nie kupisz! nie kupisz! i ze śmiechem połknął nową szklankę wina; słuchajcie panowie! on mnie poczęstował szampanem swojej fabrykacii, a ja go sucharkiem mojej roboty, cha!... cha!... i wydobył z kieszeni papier drukowanemi cyframi napełniony....

— Pijany jesteś! idź spać!...

— Ja pijany, a mądrze gadam; ty niby trzeźwy, a pleciesz duby....

— Co to? co to znaczy? krzyczą drudzy, i kupią się wkoło nich.

— Moi panowie zwariował człowiek....

— Niech pan hrabia, który jak naumyślnie tu przyjechał delikatnym rozumem swoim osądzi kto tu wariat!... pokazawszy mu papier dodał śmiejąc się głośno: jego bilet jest siedmdziesiąt dwa tysięcy.

— Hrabia skrzywił się, oddał papier Ignacemu i znikł....

— Co to jest?... panie hrabio!...

— Zahuczał powóz, unoszący hrabstwo....

— Wszyscy zadziwieni patrzą na siebie....

— To znaczy że nic nie kupisz!... Jeszcze jest trochę wina; choć nie szampańskie, wypijmy panowie zdrowie Rafała *in secula seculorum*, aptekarza naszego w Wronosławiu....

Zniknienie hrabiego dziwne sprawiło wrażenie na przytomnych; milczenie grobowe prawie w całem zgromadzeniu, jeden tylko rejent śmieje się pełnem gardłem pokazując palcem Rafała, który coraz bledszy ogląda się na wszystkich....

— Naco ci kocza wiedeńskiego; bezpieczniej piechotą chodzić....

— Mam kocz! kupiłem!...

— Nie lubię dawać na kredyt! ozwał się głos jeden, i wkrótce zaturkotał powóz pana Adama pędzącego ku miastu.

— Wypijmy pożegnanie koczowi! pij Rafałku....

— Inszy kupię, lepszy! na pół jęczącym głosem krzyknął Rafał, który całą siłą trzymał się urojeń, tak mu do smaku przypadających.

— Zatętniło na dziedzińcu; kasztanki poczwałowały ku miastu!...

— *Adieu* kasztanki z siwemi gwiazdkami; wiwat nasz aptekarz infanterzysta!...

— Kupię lepsze, roślejsze, młodsze! jęczał Rafał, odpychając pewność nieszczęścia przeczuwanego, które mu serce ściskało.

— Nic nie masz, nic mieć nie będziesz Rafałku, prócz sztuki robienia lekarstw!... czytaj jeżeliś ciekawy urzędowy wykaz numerów wygranych!... cha! cha! cha!... A ty sędzio, zostań nim, dzierzawa pojechała precz z koczem i końmi.

— Porwał się aptekarz za głowę; patrzał wkoło siebie litości szukającym wzrokiem, ale nadaremnie; na wszystkich twarzach wyryte szyderstwo, którem chcą pokryć własne zawstydzenie. Panowie! zmiłujcie się!... ja nic niewygrałem? a to podłość, to rozbój! nieprawdaż panowie? ten człowiek jest najokropniejszy złoczyńca!...

— Co za głupstwo panie Rafale! ozwał się Michał, zdejmując okulary i kładąc papier na stole; nie przekonać się dobrze....

— On mnie zabił panowie! prawda że zabił?...

— Sam sobie winien jesteś, dodał pan Dezydery, zapychając za surdut procesowe papiery; w twoim wieku nie godzi się być tak lekkomyślnym....

— Zamordował mnie! prawda panowie że zamordował....

— I nas ludzi poważnych, spokojnych wystrychnąć na dudków....

— Ależ panowie!...

— Wstydź się panie Rafale!... to niegodziwie! to paskudnie....

— Cha! cha! Rafałku bądź aptekarzem sobie... a jeżeliś się zalterował, wypij swojego szampana.

— Na co to się puszyć, piąć do góry; lepiej przy swojem zostać....

— Ależ panowie to rozbój! tyle wina, śledzi, marynaty; aż zapłakał biedny Rafał.

— Aptekarska duma! zaraz rachunek! mruknęli jeszcze goście, i powynosili się....

— Sędzina zemdlała po jednej stronie kanapy, a po drugiej stronie Rafałowa padła jak długa; nikt tego nie zważał; realista szeptał aż do ucha Izabelce.

— Ja pana nigdy nie zapomnę; odpowiedziała głośno i z przyciskiem; ale trzymajmy się rachunku i rozsądku; jeżeli dla siebie przeznaczeni jesteśmy nie unikniemy losu... a więc czekajmy i rozejdźmy się!...

Nazajutrz po tych wypadkach, szedł rejent przez miasteczko; Mendel kupiec pokłoniwszy się nizko zawołał!...

— Panie rejent! Jegomość prosim bliżej....

— Coż powiesz?...

— Prosim do sklepu!... a coż? aptekarstwo niepoumierali?... ach to mądry żart, bogdaj jegomości bóg zdrowie dał, bardzo mądry żart.... wzięli u mnie pięćdziesiąt butelek wina.

— Cha! cha! oddałem im za swoje... coż to mi podajesz?...

— Co jegomość lubi! *magenessenc!*...

— Poszlij to aptekarzowi! mnie daj innej wódki....

— Może różannej? Ach coto za mądry żart... a co śledzi, sera, marynaty nabrali, cukru do herbaty... bardzo mądry żart... Słyszałem że sędzia chce proces jegomości wydać....

— Jak mu się podoba!... dajno migdałów....

— Ach i rodzenków! to mądry żart jakem żyd!...

Ci dwaj owego dnia byli najweselsi!...

Amilkar Lelowski.

PIEŚŃ NA WZÓR

„Kennst du das Land?“

Goethego.

Znaszli kraj, gdzie wysoki stoi krzyż zielony,
A wkoło niskie krzyże i płaskie kamienie?
Gdzie kilka małych brzozek rzadkie rzuca cienie,
Gdzie smutnie rośnie cyprys i dąb zasadzony?
Luba znaszli ten kraj?
Ach tam! ach tam!
Tam sięto tylko chyba złączyć nam.

Znaszli dom z desek zbity, gdzie płótnem wybita,
Jedna ciasna komnata, gdzie drzwiami nakrycie?
Tam robak co pierś toczy, serc się naszych spyta:
Biedni! co wam na ziemi zamieszało życie?
Luba znaszli ten kraj?
Ach tam! ach tam!
Tam sięto tylko chyba złączyć nam!

Luba znaszli ten wzgórek co go darń przykrywa,
Gdzie źwierz nory potoczył, gdzie ptak na żyr leci,
Gdzie o północy mara powstaje straszliwa,
Gdzie jęczący wiatr szumi, blady xiężyc świeci?
Luba znaszli ten wzgórek?
Ach tam! ach tam!
Tam sięto tylko chyba złączyć nam....

ULICZNIK PARYSKI.

przez

JULIUSZA JANIN'A.

Ulicznik paryski jest bratem gryzetki, bratem prawym czy nieprawym, mniejsza o to, zawsze jest on dzieckiem dobrego rodu, gdyż niezawodnie, jego dziad był przy wzięciu bastylli; w rewolucii lipcowej ojciec jego wszedł pierwszy do Tuileriów, i usiadł na tronie króla; jestto ród szlachty której tytuły zatraciły się. Jednakże spojrzyj tylko za ulicznikiem paryskim gdy wybiegnie na ulicę: to spojrzenie dumne, ta śmiała postawa, ten uśmiech szyderczy, te drobne nóżki i drobne rączki, ta główka kędzierzawa, czyż nie znajdujesz w nim wszelkie cechy i przypomnienie owego narodu osobnego w narodzie francuskim, który od pierwszych początków monarchii odgrywał główną rolę we wszystkich wypadkach i zawieruchach socialnych, które zmieniły postać świata? Szczególniejto ulicznik paryski powiedziećby mógł jak Figaro: »Gdyby nieba były chciały, mógłbym się urodzić synem xiążęcia!« Ale nieba tego nie chciały, nasz bohatyr jest czemsiś lepszem niż synem xięcia, jest on ulicznikiem Paryża.

Zkąd on pochodzi? jaki początek jego rodu? Dokąd dąży? A mógłżebyś mi powiedzieć zkąd pochodzą te wróble domowe które przywłaszczyły sobie bez ceremonii najpyszniejsze place i najpiękniejsze ogrody stolicy; milutkie, zwinne malce, zuchwałe rabusie, są one panami *Palais-Royal*, którego ruch jeszcze bardziej ożywiają; panami Luxemburgu którego ożywiają milczenie. W *Jardin des plantes*, wybierają sobie hojne dziesięciny ze strawy lwów i tygrysów; w Tuileriach żywią się okruchami spadłemi ze stołu króla, nie pytając kto jest ten który panuje; nie posiadają one ani barwnych piórek, ani wdzięku, ani piękności, ni żadnych przymiotów właściwych spiewającym ptakom; lecz za to mają żywość, dowcip, trafny rzut oka; są więcej niż śmiałe, są poufałe. Doprawdy nie zadziwiłbym się wcale gdyby mi kto dowiódł, iż ulicznik paryski i wróbel domowy są dziećmi jednego gniazda. Lecz jakże smutnem byłoby miasto pozbawione swoich świergotników.

Zaledwie ze snu ocknięty ulicznik paryski, staje się łupem dwoch główniejszych żądz, które są życiem jego: głód i wolność. Trzeba żeby się najadł, trzeba żeby wyszedł. Dawajże mu zaraz chleba i świeżego powietrza. Prędko uwija się ze swoim ubiorem, przestronna bluza, oto strój jego. Skoro zanurzył głowę i ręce w zimnej wodzie, jak wesoły pudel, już ma na cały dzień tej tualety. Jego ojciec nie troska się o niego wcale, bo i ojciec był także niegdyś ulicznikim paryskim, wie on jakto się wychowuje; ale matka jako Paryżanka i matka, zazdrośna o urodę swojego synalka, ma ona zawsze na pogotowiu dla niego białą koszulkę, grzebyk do przygłaskania roztrzepanej główki i kilka drobnych groszy; a potem, bywaj zdrów mój synu! jużeś wolny; idź i bierz w posiadłość swoją, całe miasto, jesteś panem, jesteś królem Paryża, bo to miasto dla ciebie zbudowane, powinno ci być posłusznem; biada parafianinowi, biada mieszkańcowi, biada nieświadomemu który w tem przechodzącem dziecku niechciałby uznać władcę tego wielkiego grodu! On tymczasem raz puszczony na wolność spogląda zkąd też wiatr wieje, i posłuszny jest jedynemu panu swemu, wiejącemu wiatrowi. Czy słyszysz już jego radośny okrzyk który się miesza z okrzykiem rannego ptaszka wesołej jaskółki? »Oh, he! oh, he! oh, he!« A na ten zwycięski okrzyk odpowiadają razem wszystkie echa: »Oh, he! oh, he!« Gdyż to jest instynktem ulicznika paryskiego zgromadzać się, łączyć i postępować w ściśnionych szeregach. Napisano: »Nie dobrze jest aby ulicznik paryski zostawał sam jeden.« Kiedy jest sam jeden, ulicznik paryski nudzi się, nie ma apetytu, ręce jego opuszczone w próżnowaniu, jego lekkie nóżki ociężałe; lecz skoro wesoła banda zgromadzi się, dłoń wtedy chwytna, nóżki polotne, wzrok sokoli, pierś pała roskoszą, wszelkie instynkta rycerskie tego drobnego ludu obudzają się naraz. Patrz! oto ulicznik paryski stąpa krokiem miarowym, usłyszał bębnienie i posłuszny jest odgłosowi bębna; kapral uśmiecha się do niego, oficer uderza go po przyjacielsku po tłustych i rumianych policzkach. Po drodze, jeżeli jest w usposobieniu do tego, nic nie przeszkadza aby ulicznik paryski nie wstąpił mimochodem do jakiej szkoły; do której? jemu to wszystko jedno, on niema żadnych przesądów. Lekcia zaczęta, profesor rozpoczął wykład jakowejś materii, ale już ulicznik paryski wszystko zrozumiał: jestto najżywsza, najchwytniejsza i najszczersza pod słońcem, pojętność; jestto umysł który bezustannie idzie naprzód, jasny i żywy jak błyskawica. Nic go nie zadziwia; on tak prędko pojmuje iż zdaje się tylko przypomina sobie rzecz już wiadomą. Ulicznik paryski posiada we właściwej sobie mowie jedno słowo, które dla niego zawiera w sobie wszelkie umiejętności polityczne, literackie i naukowe; skoro wyrzekł: znane, znane! już wszystko powiedział. Mówisz im o Karolu wielkim i o Ludwiku czternastym: znane, znane! Tłumaczysz im jak to dwa a dwa są cztery: znane, znane! jak to ziemia się obraca a nie zaś słońce;

znane, znane! Ale wymów tylko przed niemi to jedyne imie Napoleon Bonaparte, a ujrzysz jak nagle te młode główki zdejmują swoje nakrycie i uchylają się z uszanowaniem, te złośliwe śmieszki przybierają postać surową; już nie powtórzą jak przed chwilą: znane, znane! lecz przeciwnie słuchać będą z najpilniejszą uwagą najdrobniejszych szczegółów historii nowszych czasów. W samej rzeczy, ulicznik paryski przypomina sobie jakby we śnie owe czasy chwały w których on bywał tak ważną osobą: w tedy wysyłano go z bosemi nogami aż nad granice; uzbrojony lichą strzelbą podbijał on świat mimo swej wiedzy; w szesnastym roku wieku swego był on już bohatyrem, sam o tem nie wiedząc; jego tajstra była próżna, to prawda, jednakże wiedział on dobrze iż w tej próżnej tajstrze ukrywa się laska marszałkowska. Kiedy był w wojsku, ulicznik paryski odznaczał się tam równie żywością umysłu jak i odwagą; onto był szczęśliwem słówkiem bitwy, roskoszą obozu, kochaniem markietanek; zawsze żwawy i wesoły pobudzał wesołość drugich; onto brał na siebie wszystkie dowcipne słówka wojska; onto sam wynajdywał owe rzutne i wesołe odpowiedzi, owe śmiałe improwizacie które tyle zachwycały cesarza. Już ja widzę co to się święci, mawiał on do wodza w szaraczkowej kapocie; ty chcesz sławy, dobrze więc! damy ci jej do.... Tylko ulicznik paryski mógł wynaleźć takie słowa. I cesarz wiedział o tem dobrze, a ponieważ żaden najmniejszy szczegół nie uszedł baczności jego, był on zawsze zawiadomiony, w którym pułku najlepszy dobosz, najlepsza muzyka i ulicznik paryski. Tylko że w tedy ulicznik paryski odmieniał imię swoje i nazywał się Paryżanin. Z Paryżaninem dzieje się toż samo co z winem szampańskiem, napotkasz go pod wszystkiemi południkami i równoleżnikami, na ziemi, pod ziemią i na wodzie. Od Paryżanina pochodzą wszystkie opowieści, bajeczki i wszelkie cuda. Patrząc na jego szczery uśmiech, słuchając jego cudownych improwizacij, cała okrętowa załoga gotowa zapomnieć o głodzie, pragnieniu i upałach kanikuły. Zawszeto w najwdzięczniejszy sposób Paryżanin rzuci tobie swoje dowcipne słówko i cięcie pałaszem; onto rymuje piosnki, pisze słodkie bileciki od obozowych kolegów i zanosi wyzwanie do kapitana. Jest on biegłym fechtmistrzem, wynalazł pewne tajemnicze pchnięcia i psikusy, których naucza kogo bądź; gra na fleciku, na trąbce z cebuli i na dromli; umie on udawać do omylenia: kota, psa, i inne domowe źwierzęta. W podróżach swoich nad brzegi *Meschacébé*, pan *de Chatobriand* napotkał ulicznika paryskiego jak dawał lekcie pięknych manierów z czasów Ludwika XIV, panom i paniom dzikim.

Dokończenie nastąpi.

KILKA SŁÓW O TOWARZYSTWIE

WSTRZEMIEŹLIWOŚCI.

(Nadesłane)

Każdy z nas, kochający w naszych włościanach swoich spółbraci, z roskoszą przyjmuje wiadomość o coraz bardziej i do naszej już prowincii zbliżającem się towarzystwie wstrzemieźliwości, a jednak, nikt nie pomyśli nawet, że podobne towarzystwo z trochę tylko odmiennym celem: zamiast od trunków, wstrzymywania nas od istotnego szału prowadzenia tak zwanego życia nad sferę, i w naszej majętniejszej zaprowadzone klasie, do kilku lat postawiłoby nie tylko nas w możności zapewnienia sobie i swoim wątpliwej dziś przyszłości; ale przykładem dobrym przyspieszyłoby zbawienne skutki, z tylą przeszkodami dziś walczącego towarzystwa wstrzemieźliwości. Póki nasi ojcowie byli oszczędniejsi, więcej dbali o przyszłość swoją i swoich podwładnych, i słudzy byli moralniejsi, i nasi włościanie wstrzemieźliwsi; dzisiaj gdy obywatele wiejscy zdają się przemyślać nad tem, jakimby sposobem wyrównać, czasem jeszcze i przesadzić w zbytkach, daleko możniejszych od siebie, cóż więc dziwnego, że nasi biedni włościanie, nie mając innego przykładu przed sobą, w swoim znowu rodzaju ubiegają się, jakimby sposobem zmarnotrawić krwawo zarobioną pracę?...

Niech tylko każdy z obywateli rzetelny zrobi obrachunek swoich dochodów i wydatków, ręczę, że ledwie dziesiąty żyje podług swojej możności; ileżto jest obywateli, którym wioska obdłużona nie robi czystego procentu, jak kilkaset ryńskich, a przecież w niczem nie ustąpią swoim sąsiadom majętniejszym; potem, (co za niesprawiedliwość!) gdy po kilku, lub przy najpomyślniejszem powodzeniu, po kilkunastu latach, dłużnicy rozbierają wioskę, a rodzice i dzieci, przyzwyczajeni do zbytków, bez żadnego pozostają sposobu do życia, wszyscy wołają: »alež to nieszczęśliwi!« nikt zaś nie powie: że to można było przewidzieć, że to człowiek lekkomyślny, więcej wydawał niż miał.

Oficer, urzędnik, któren długi robi bez nadziei zaspokojenia swoich wierzycieli, czyli innemi słowy: któremu od jego kapitału tj. rangi, lub urzędu, procent tj. pensia nie wystarcza na życie, ten jest miany za człowieka nierzetelnego, nieuczciwego, nie honorowego; obywatela zaś wiejskiego, któren procent z kapitałem tracąc, zawodzi swoich najgłówniejszych wierzycieli: żonę i dzieci, wszyscy nazywają tylko nieszczęśliwym. To samo dzieje się i z klasami uboższemi; weźmy np. naszych wiejskich oficialistów: prawie każdy więcej wydaje niż powinien, zapatrując się na nas; ani pomyśli, czy mu pensia wystarczy. Oczywisty ztąd skutek, iż w końcu musi być nierzetelnym.

Gdyby tedy w każdej okolicy kilka domów z sobą żyjących uformowało rodzaj towarzystwa wstrzemieźliwości od zbytków, przyjmując za zasadę, że więcej niż pięć procentu od majątku swego, ściśle obliczonego, nikt stracić nie powinien i nie może, wtedy moglibyśmy niejako mieć prawo zachęcania naszych włościan do wstrzemieźliwości, i niezawodnie osiągnęlibyśmy cel zamierzony; dzisiaj zaś, nie umiem nawet pojąć, jakiem czołem możemy zachęcać drugich do cnoty do której sami wznieść się dotąd nie umieliśmy.

F. P.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.